

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDZ

5) Powieść z francuskiego

Od kilku już dni pani Chalis otrzymywała mnóstwo listów, opisujących jej zabawy, nie przerywając po sobie następujące w tej pańskiej rezydencji. Wymieniano jej nazwiska przybyłych i tych, których oczekiwano. Mówiono o balach, jakie się przygotowywały, o ubiorach, które się tam ukazały po raz pierwszy. Hrabina nie posiadała się z zachwytem.

Nie powiedziawszy mi ani słowa, napisała do Paryża, do wszystkich swych dostawców, do szewca Jordana, artysty, jak utrzymywała, po obu; do Petiteau jubilera, by jej przysłał brylanty, zamówione przed odjazdem; do Teliksa z prośbą o owe cudne kapelusze z gazy i kwiatów, które z rąk jego robotnic przechodzą na najpiękniejsze i najarystokratyczniejsze głowy całej Europy. Pisała również, by jej przysłało do Biarritz koronki, rękawiczki, perfumy.

Wszystko to niepokoiło mnie. Naprawdę powtarzała mi, iż nie jest już tą samą kobietą, że jeżeli udaje się do Biarritz, to dlatego, że ma obowiązki względem towarzystwa, że będzie pisać do mnie i że zobaczymy się w Paryżu w połowie października.

Kobiety jej do północy pracowały nad wykończeniem mnóstwa strojów. Sama pisała niezmierną ilość listów; ubodzy i dzieci zostali zaniedbani.

Czułem, że zwątpienie zakrada mi się do serca.

Ostatniego wieczora zauważyłem, że oczy hrabiny unikają moich i że chwilowo ukradkiem spogląda na mnie ze szczególnym wyrazem. Nie mogłem jednak odgadnąć, czy to z powodu rozstania się wzrokowi jej nadawał cechę tęsknoty. Wzdychała.

Ja także wpatrywałem się w nią. Nie wiem, co dostrzegła w moich oczach, ale odwróciła głowę.

Co do mnie, wyszedłszy od niej, nie mogłem powstrzymać łez.

Zanadto szczytnych, zanadto czystych doznałem rozkoszy — i obawiałem się, że ta, która mi nie obdarowała, wymknie mi się na zawsze.

XL.

Przybywszy do Nantes, zauważyłem, że ojciec mój ma jakąś tajemniczą minę, która nie była mu właściwą.

Powiedziałem już, że zacny ten człowiek kochał mnie bardzo serdecznie. Dodam jeszcze, iż przeniósł na mnie całą swoją ambicję. Surowy tryb życia, jaki prowadził, bynajmniej nie oddziaływał na jego charakter. Nigdy nie widziałem człowieka w jego latach, przejętego szczerym liberalizmem. Całą swą duszą pragnął on, bym zrobił świetną karierę, ale miał tak delikatne i tak wzniosłe poczucie godności i odpowiedzialności względem społeczeństwa, iż raczej umarłby na miejscu, aniżeli chciałby zadać kłam najmniejszemu memu postępowaniu.

Po raz pierwszy od lat dziecięcych czułem się nieswój w jego obecności. Nie ukrywałem przed sobą tego, że skłonność moja do hrabiny może mnie doprowadzić do wszelkiej ostateczności. Skłonność ta już popsuka memu ojcu plany, jakie sobie ułożył co do swojej przyszłości. Nie zwierzyłem mu się z tajemnicy. Nie chciałem go martwić.

On to sam, nie domyślając się tego, zadał mi cios dotkliwy. Powiedział, że od kilku miesięcy czuje, jak siły jego słabną i że powinien już na serio myśleć o przygotowaniach do wielkiej podróży.

Gdy się przeraził, usłyszawszy tę smutną przepowiednię, ojciec dodał, uśmiechając się, iż jedyne przygotowania, jakie ma zrobić, zawierają się w tem, iż chce, bym się sam należycie urządził.

Nie znalazłem w sobie siły na odpowiedź. Wiedzę, ciągle uśmiechając się, wyznał mi, iż znalazł dla mnie towarzyszkę piękną, łagodną,

niezmiernie ujmującą w obejściu i wielkiej skromności.

Gdy skończył ten panegiryk, dał się słyszeć odgłos dzwonka, otwarto drzwi i weszły dwie damy.

W młodszej z nich nie trudno mi było domyśleć się tej, o której mówił ojciec.

Gdybym spotkał ją był przed sześciu miesiącami, rzuciłbym się był ojcu na szyję. Nie była ona piękniejszą od hrabiny Chalis, ale jak zachodziła między nimi różnica! Nieznajoma ubrana była skromnie, wyraz twarzy miała pełen łagodności, coś niezmiernie rzewnego i dziewczęcego w rysach, w oczach, w ruchach, w całej postaci. O! Wtedy to pojąłem, i to w sposób bardzo dotkliwy, że dystynkcja nie tyle jest wynikiem urodzenia, ile raczej czystości duszy.

Ta młoda dziewczyna nieznanego rodu, spokojnie wychowana w mieście prowincjonalnym, wyglądała tak, iż pozazdrościłaby jej królowa. Miała imię Marya i tak jak jej legendowa Patronka posiadała ten przymiot, iż na jej widok oczyszczało się serce.

Nie trudno mi było zrozumieć, o co idzie: uczciwe szczęście było tuż, przedemną, dotykające, pociągające samą swoją pogodą, skromne a ożywione.

Milczenie młodej dziewczyny było wymowne. Ujrzawszy mnie, lekko zarumieniła się. Zapewne powiedziano jej, że mógłbym być jej mężem. Czyniło to położenie jej kłopotliwym.

Ale ja, na chwilę wzruszony tem dziewczęciem zjawiskiem, uczulem, jak nagle serce mi się ścisnęło na wspomnienie hrabiny. Jak ci nieszczęśliwi, którzy, przechodząc kole no wszystkie stopnie upojenia, w końcu tylko w piołunówce smak znajdując, odwróciłem się od czystego źródła, które mi się przedstawiało. Zanadto zdrowem było dla mnie.

XLI.

Nie chciałem jednak formalną odmową martwić mojego ojca.

Powiedziałem mu, że obawy, jakie miał co do własnego swego zdrowia, nie zdają mi się być uzasadnionymi i że, nie mając nic do zarzucenia panience, której rękę proponował mi, którą ja znajdowałem ze wszech miar doskonałą, byłbym szczęśliwy, gdyby udzielił mi kilku miesięcy czasu na zastanowienie się; małżeństwo bowiem, jest to rzecz ważna.

Czy ojciec mój uwierzył temu, com mówił? Nie wiem. Ułożył on tak, że codziennie przez cały miesiąc spotykałem się z Maryą. Zawsze znajdowałem ją jednakową, zawsze była zadowolona z siebie. Nic w niej nie okazywało, bym wywarł na niej jakiegokolwiek wrażenie. Zauważyłem tylko, iż w dniu, w którym byłem na pożegnaniu u jej matki, znikła z salonu, właśnie w chwili, gdy miałem odejść.

XLII.

Listy, jakie otrzymywałem z Biarritz podczas mego pobytu w Nantes, wcale mi nie cieszyły. Hrabina pisała mi tylko o zabawach. O dzieciach ani słowa! Żadnego wspomnienia o radościach, jakie dawałem jej w Aix, żadnego żalu po chwilach tam spędzonych!

Odpowiadałem, uskarżając się łagodnie. Pisałem, że takie życie, wyłącznie rozrywkom poświęcone, wydaje mi się bez treści, niegodnym jej inteligencji i że się niepokoję o przyszłość.

Pani Chalis odpisywała mi na to, że jestem zazdrosny, że mam zły charakter. Potem, by mnie rozgniewać, uwiadomiła, że cztery razy na dzień zmienia toaletę, że zaćmięwa wszystkie kobiety, które śmiertelnie zawzięte są na nią. Wynurzywszy to, oddawała się szalonej radości, pisząc mi o szczęściu, jakiego dozna, gdy mi znowu zobaczy.

Naglona przezemnie, powróciła nieco wcześniej do Paryża, niż zamierzała.

Znalazłem ją zmienioną, ogorzałą od słońca, bardziej rezolutną niż dawniej, zawsze nieco nerwową, ale nie tak wyniosłą. Była jakby upojona.

Jakiegoż doznała tam powodzenia? — zapytywałem sam siebie.

Znalazłszy się zupełnie w swojej sferze, robiła się jeszcze większą damą niż przedtem, bardziej niezawistą; ja naturalnie, stałem się bardziej uległym.

Widząc, że żadna z jej przyjaciółek nie powróciła jeszcze, zamierzała pojechać do Baden. Zaklinałem ją, by tego nie robiła. Zrazu przy-

stała, potem odmówiła, potem westchnęła, uściśnęła mi za rękę i nie mówiła o tem.

Wyniosłem się z dzielnicy, w której dotąd mieszkalem, aby być bliżej hrabiny. Zajmowała ona wspaniały pałac w alei Królowej Hortensyi.

Codziennie prawie odwiedzała mnie w małym apartamencie, który wynajęłam przy ulicy Miro-mesnil.

Ale w miarę, jak zbliżała się zima i przyjaciółki poczęły powracać do Paryża, wizyty, jakie raczyła mi oddawać, stawały się coraz rzadsze. Świat znowu ją pochwycił!

Nie wstawała nigdy przed jedynastą. O d następie była ubrana i zasiadała do śniadania, zawsze sama. Potem przyjmowała bliższych znajomych do godziny drugiej. Wycieczki w powozie do szwaczek, fryzjerów, modniarek, zajmowały jej czas do godziny czwartej. Potem jeździła pokazać się w lasu i powracała do miasta, robiła wizyty i piła herbatę u tej, to u owej znajomej. O siódmej jadła obiad; potem zmieniała toaletę i jechała do teatru, stamtąd na bal. Wreszcie zmęczona strasznie, ale z głową zupełnie próżną, kładła się spać koło drugiej godziny.

Cóż pozostawało dla mnie z życia tak gorączkowo zajętego? Prawie nic. Najwięcej godzin na tydzień. Czekając na nią — nie przybywała lub spóźniała się, była rozłaginiona, prosiła, bym jej nie miał tego za złe, że „mnóstwo miała roboty”.

Potem wstawała, z uśmiechem podawała mi rękę do pocałowania i odlatywała.

Cierpiałem okropnie, widząc, jak mi się wymyka. Nie śmiałem robić jej wyrzutów. Obawiałem się wprowadzić ją w zły humor i by, korzystając ze sposobności, nie rozgniewała się i nie zerwała ze mną.

Nakoniec, jednego dnia, upłynęło już ze dwa tygodnie od czasu, jak ją widziałem; zrozumiałem, iż pozostaje mi jeden tylko środek powstrzymania tej błędnej gwiazdy, która w bezładnym ruchu coraz bardziej usuwała się z mego nieba, a mianowicie, bym się sam dał wciągnąć w jej orbitę i przyjął udział w jej życiu.

XLIII.

Okropne to życie dla istoty, obdarzonej rozumem!

Po same usta pogrążyłem się w błocie paryskiego piekła! Zaniedbałem wszystko, nie uczyłem się już nic, przestałem pracować, nie miałem czasu nawet myśleć o czemś wzniosłym i poważnym. Na prelekcje chodziłem bez przygotowania, często podawałem się za chorego, a właściwie byłem tylko zezwierzęcony. Puściłem się szeroką drogą modnych paniczów; stałem się zwyczajnym członkiem wyścigów, jednym z filarów rozgłosnego klubu, męczyłem codziennie mego wierzchowca. Wieczerałem prawie zawsze o północy.

Wieczorem bywałem na widowiskach, rozkoszując się pięknościami „Paryskiego życia”, solą atycką „Łani w lesie”, porównyując w duchu szczerne ustępy Tacyta lub Demostenesa z dowcipem, tryskającym z każdego wiersza tej niezrównanej „Księżniczki Gerolstein”, która dośzła do takiego honoru, iż wzbudziła ciekawość samego cesarza... Unosiłem się nad figlami panny Schneider, robiłem uwagi nad kształtami Kory Pearl i miss Menken.

Z wyobraźną, naszpikowaną wszystkimi temi pięknymi rzeczami, którem widział i słyszał, pracowałem nad nabyciem oglady światowej, uczyłem się sztuki podnoszenia chusteczek, zręcznego podawania wachlarza i patrzenia kobietom w oczy, jak się to dziś robi, z miną nieco drwiącą, aby dać im do zrozumienia, iż nie czytują ich za niebezpieczne.

Skończyły się surowe studia, głębokie badania, wszelka praca wzmacniająca, która niegdyś stanowiła, że tak powiem, cząstkę mojej istoty.

Ale nastąpiły zato długie narady z krawcem w celu stanowczego zadecydowania kroju kamizelki, piękne partye w karty ze „zdrobniałymi rozpustnikami” mojego klubu, zajmujące korespondencje z dostawcą bielizny, dla ustanowienia formy mankietów i kołnierzyków, promienady nad brzegiem jeziora, ćwiczenia w strzelaniu do gołębi, wykrecanie wszelakich esów i floresów na lodzie, pod okiem pięknych dam.

Gdybym zajął się zwierciadłami, twarz moja sprawiała na mnie takie wrażenie, jak gdybym patrzył na księcia Titiane.